



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG**

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 5

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

OD WYDAWCY.

Początek drukującej się obecnie w dodatku do „Bluszcza“ powieści

pod tytułem:

RUBIKON

nowi prenumeratorowie otrzymać mogą na żądanie bezpłatnie.

POGA WĘDKA.

Rozpoczęliśmy zatem, szanowni czytelnicy, Rok Nowy, będziemy nadal toczyli razem taczkę żywota, a jaka nam droga wypadnie, dokąd zawedzie— to już zależeć będzie częścią od nas samych, a częścią od wypadków, które zewnątrz nas działając, każą nam nieraz zejść z bitej ścieżyny i często zejść na błędne manowce, w głuchym zabłąkać się lesie i omackiem szukać drogi, któraby

nas na szeroki gościniec wywiodła. To poszukiwanie na chybił—trafił, jest bardzo niemiłym zadaniem, ja nawet dodam, że jest niegodnym rozumnej istoty, stworzonej na obraz i podobieństwo Boże.

Ale jak to trafić na ścieżkę właściwą wśród labiryntu i krętaniny dróżyn różnych?

Mówią, że ptak kieruje się wrodzonym instynktem, choć można śmiało twierdzić, że ta zdolność kierownicza ptaków jak i zwierząt innych, które wchłaniając w pierś powietrze, trafiają do zamierzonego celu—nie koniecznie jest ślepym darem natury, lecz dorobkiem długiego szeregu pokoleń, doświadczeniem praocjów, prawem dziedzictwa przechodzącym z dziadów na wnuków. Człowiek do wyższych zadań stworzony, z biegiem niejednego lat tysiąca coraz bardziej odrywał się od łona macierzy-ziemni, siłą myśli ulatał wyżej i wyżej i nieraz tonął we własnych marzeń niebie tak bardzo różnym od otaczającego go świata. Zwierz żaden ani ptak żaden nie wyszedł z granic przeznaczonych mu przez naturę—to też, gdy czuje pragnienie, wie którądy się zwrócić, by jakieś źródło ożywej wody napotkać; człowiek musi przed sobą rozłożyć kartę danej miejscowości, ażeby bez pytań trafić do potoku, gdy zmęczony podróżą, w obcej zupełnie mu stronie, ożywej kropli wody zapagnie.

Lecz czem dla zwierzęcia jest las bezdrożny, z którym powinien radę dać sobie, tem dla człowieka — jest życie. — Jak tamten wśród labiryntu drzew, tak ten wśród bezdroża ciężkiego nieraz żywota, musi radzić, by *dojść* do celu — a jeżeli, różne okoliczności, metę pragnień jego w niedoścignioną dal odrzuca—powinien *isć* zawsze drogą równą, choć ciernistą nieraz.

I po co wam to mówię? Przecie już w pierwszych dniach życia każdego nowego przybysza na tę ziemię, mówi macierz dziecięciu swemu te prawdy katechizmowe.

Zapewne! Lecz jak często o tym katechizmie zapomina się później.

Przypomnienie jednak nie zaszkodzi, bo życie coraz cięższe się staje, bo coraz bardziej jest potrzebna obecność Boga i ukochanie ideału, dla którego musimy poświęcić każdą godzinę naszego życia, każde drgnienie naszego serca, niemal myśl każdą.

Nie jestem członkiem Towarzystwa, którego obowiązkiem jest nadzór nad zwierzętami oddanymi na łaskę lub niełaskę okrutnych ludzi; nie wiem nic o wypełnianiu przyjętych zobowiązań przez członków tego towarzystwa, jak się one i kiedy wypełniają—wiem jedno tylko, że nielitościwy bat smaga nadmiernym ciężarem objuczone zwierzęta, w obronie których niepowołani stawać muszą i narażać się na brutalne odpowiedzi panów fornałów. Codziennie prawie jestem świadkiem tej kaźni zwierząt, która się odbywa w dzień biały, przy stróżach porządku, podczas wywózki śniegu z zasypanych nim dziedzińców kamienic warszawskich. Ogromny wóz ugina się pod ciężarem zbitej, białej masy, biedne koniska dobywają siłę wszystkich, ale z miejsca ruszyć nie mogą, bat fornała nie próżnuje, tnie po nogach i bokach sapiących, a gdy boleśne razy pożądanego nie odnoszą skutku—okrutne cięcie wymierza się w łeb prosto, że nieraz biedne oczy zwierzęciu krwią zajdą a czasem ryk głuchy z piersi wypadnie.

Parę dni temu byłem świadkiem tego pastwienia się, które trwało około godziny. A wiele klątw o wyrażeniach dosadnych posłało się tym niewolnikom końskim, to można byłoby mały słowniczek ułożyć z tych wyrazów, niejednemu językoznawcy nieznanym. A działo się to przed wieczorem, na zbiegu ulic Marszałkowskiej i Nowogrodzkiej. Po cięciach i klątwach, po zmęczeniu i skatowaniu nadmiernym wysiłkiem znużo-

nych koni, gdy wóz z miejsca się nie ruszał a bite zwierzęta ślizgały się i padały na ziemię — poszli po rozum do głowy (jak się dowiedziałem właściciele tych koni) i przyprowadzono trzeciego do pomocy. Z trudem wóz ruszył, zatrzymywał się jednak co chwila — ale groźne nawoływanie i bat nieustający w robocie, kazały koniskom ciągnąć furę gdzieś daleko za miasto.

Na dzień następny powtórzyła się ta sama historia. Oburzyła nas nieuczynność fernalów i mimo woli zapytałem siebie, na czem polega opieka wspomnianego wyżej Towarzystwa? — Być może, że gdyby w tłumie gapiących się znajdował się jakiś członek mający prawo pociągnięcia do odpowiedzialności winnych — możeby zadość sprawiedliwości się stało; ale widocznie, że nie zbyt donośną jest działalność Towarzystwa opieki, mało zresztą przejawia się w czynach, gdy panowie fornale nie wiele sobie żeni robią, nie lękając się w zgromadzonym tłumie spotkać uprawnionego członka, a gdy śmiałek jakiś coś o tem im napomknie, odsyłają go krótko a wężłowato tam gdzie gorzki pieprz rośnie. A przeciw Warszawie to nie żaden zaścianek zapadły, a podobne znęcanie się nad końmi do białych nie należy kruków. — Nie mówimy jednak, ażeby Towarzystwo *pro forma* istniało — zapisujemy tylko jeden z tysiąca faktów okrucieństw ludzkich, zwracając na to uwagę tych, którzy może więcej w tym wypadku wiedzą od nas.

Czy rzeczywiście jest tak głucho na świecie, czy tylko ze mnie stał się nieznośny sensat i nie wiem co się dzieje za drzwiami mego pokoju — ale żaden weselszy głos z zewnątrz nie dolata i nie przyczynia się do wzbogacenia kronikarskich moich wiadomości. Nie tylko u nas, ale na całym kolisku ziemskim jest chwila dziwnej ciszy i wyczekiwania. Przestali nawet ludzie kombinować, bo już raz poplątali się w swoich wywodach. Pan Józef czy pan Atanazy nie wiele więcej wiedzą ode mnie, zasłyszana od nich nowina nie jest nowina, ja im więcej interesującej nie mogę udzielić, więc — pogadawszy o przeszłorocznym śniegu, rozstajemy się niezadowoleni, nie z siebie, lecz z czasów, które nieprzypominają w niezem mytycznych dni Apollinowych. Zbliżający się nawet karnawał niezbyt dobrze wróży o rozbawieniu się miasta. Biedne szwaczki skarżą się na brak roboty, przez duże szczyby sklepów bławatnych wyziera pochmurna postać kupca nie mogąca się doczekać strojnisi żadnej. Spotkasz jakiegoś znajomego ze wsi obywatela, dziwi się, że go pytasz, czy na karnawał przyjechał?

— Ja — panie i — karnawał?

Wzruszył ramionami.

— Albo co? — pytam.

— Kamienie gryzę...

— A pszenica?...

— A gdzie ją sprzedać i za co?...

Dziwnie się ułożyły stosunki. Zboża jest nad potrzebę, a wieluż to ludzi suchego kawałka chleba nie ma. Nie wiem czy znajdzie się teraz choć rolnik jeden, któryby wystąpił z pochwałami wsi spokojnej i wesołej. Z powodu tych anormalnych stosunków bardzo wielu właścicieli ziemskich, zwróciło szczególną uwagę na gospodarstwo rybne. Dobrze nawet pola uprawne, w stosownym znajdujące się położeniu, nawodniają, tworząc sztuczne jeziora a rachunek wskazuje, że karpie i szczupaki więcej im teraz zysku przyniosą, niż lśniące złotem pszenica.

Jeżeli właściciele krzywią się, cóż mówić o dzierżawcach? Są to przeważnie ludzie, którzy się wdrowali do gospodarstwa i na tem polu, siako tako, kapitalikiem obracać umieją. Jeżeli im ten grunt z pod nóg się usunie, zostają wykolejeni, a że gdzieś mieszkają trzeba i coś zrobić trzeba, udają się najczęściej do miasta i tam zaprzepaszczają grosz ostatni, ciężką zdobyty pracą. A wielu tych dzierżawców znajduje się w kraju naszym. Niejeden ekonom, dorobiwszy się nieco grosza na pańskich folwarkach, zamarzył o samodzielniejszej pracy i życiu więcej niezależnym; niejeden właściciel ziemski przygnieciony rozmaitemi okolicznościami, musiał się pozbyć drogiego nieraz kawałka gruntu, a przyzwyczajony do pracy rolnej, nie chciał jej zamienić na coś mniej znanego sobie: i oto, ekonom, zostając dzierżawcą o jeden stopień wyżej podniósł się, właściciel zniżył

się o jeden stopień; wyrównał się nieco dawny rozdział towarzyski, a zajęci ciężką pracą przy roli, zapomnieli o dawnych sfer różnicach.

Ostatnie lata upadku cen — dały boleśnie się uczuć tym ludziom. Szczęściem, że znaleźli się niektórzy właściciele dóbr, którzy umieli wejść w położenie zagrożonych katastrofą bankrutwa i ze szlachetną życzliwością im pomogą. Godnym zanotowania jest tu szlachetny uczynek ks. Czetwertyńskiej, która w majątkach swoich położonych w powiecie humańskim, gubernii kijowskiej, wchodząc w ciężkie położenie dzierżawców z powodu nadzwyczajnie niskich cen zboża i zupełnego prawie zastoj w handlu zbożowym, zmniejszyła czynsz dzierżawny ze wszystkich folwarków o 50%.

Piękny ten uczynek, iście książęcy, nie powinien być przemilczany. Jak wszelkie złe jest zaraźliwe, tak i dobro udziela się czasem ludziom, tylko, jeżeli przeciw pierwszemu używamy rozmaitych środków zapobiegawczych, to drugie, chcielibyśmy, ażeby się jak najbardziej rozpowszechniło. Mamy nadzieję, że niezbraknie naśladowców wśród panów naszych, którzy przeciw umieją na byle co puszczać pieniądze. Postępek księżnej Czetwertyńskiej jest prawdziwie obywatelski, aby go tylko nie zaćmiły różne wieści błąkające się po dziennikach naszych, a tyjące się tej właśnie fortuny.

Jakkolwiek codziennie wzdłuż i wszerz przebiegam Warszawę, jakkolwiek codziennie niemal przechodzę koło Salonu artystycznego, Wystawy Krywulła i Sztuk pięknych — oddawna jednak nie odwiedzałem tych przybytków sztuki, a to wprost z niemożności poświęcenia dłuższego czasu na dokładne rozejrzenie się w arcydziełach, może i niearcydziełach swoich i obcych. Skusiłem się jednak na zobaczenie dwóch rzeczy: dużego tryptyku Extera przedstawiającego Adama i Ewę i wielkich rozmiarów portretu Piotra Chmielowskiego, którego wykonawcą jest Ludomir Szpadkowski.

Zacniemy od pierwszych rodziców naszych.

Ha — Adam i Ewa!

Przedmiot nie nowy, traktowany różnie przez różnych. Nowością w tym obrazie, nieupiększającym wcale Salonu Krywulła, jest to chyba, że Adam wygląda, jakby nie miał czego jeść w raju, a Ewa...

Jakby to szanownym państwu powiedzieć...

Ot, gdybym ja był Adamem, a z boku mego taka Ewa wylazła, to...

— Paniel!

— Pani...

— Proszę być oględniejszym w wyrażeniach...

— Nie jeszcze nie powiedziałem...

— Domyśliłam się jednak.

— Tem lepiej — dla mnie, bo niemam już potrzeby kończyć rozpoczętego zdania — dla pani, że nie będziesz narażoną na przywoływanie mnie do porządku. Ale, doprawdy, takiej Ewy nie spodziewałem się wcale zobaczyć. Brzydka twarz, brzydkie ciało! Obraz pierwszy przedstawia Ewę, która tylko co wyszła z boku śpiącego Adama — środkowy, biorącą jabłko z rąk węża, ostatni — klęczącą z głową opartą na kolonach biednego męża, który, jak zbój, patrzy z obrazu na ciebie. Rodząca się Ewa ma kolor ciała szaro-błękitny, kusząca żółte — rozpaczająca zzieleniałe okrutnie. Niezły rysunek ramion Adama na środkowym obrazie, nie ocala całości dzieła, który jest płodem poronionym i do wyobraźni widza nie przemawia ani bogactwem kolorytu, ani dobrym kształtem figur, ani pomysłem głębszym przed wiekami odegranego dramatu. Postacie rysują się płasko na tle obrazu, i są brzydkie, jeżeli nie wstrętne. Taka Ewa...

— Paniel!

— Przepraszam — idę do Zachęty Sztuk Pięknych.

Nie długo tu bawiłem — wiodła mnie ciekawość zobaczenia obrazu p. Ludomira Szpadkowskiego, o którym (obrazie) słyszałem tylko pochwały, a nie a nie prawie zarzutów.

— Jakież pańskie jest zdanie o tem dziele p. Ludomira?

— Moje?

— Tak...

Zamało krytyka powiedziała o niem — choć dużo w niem rzetelnych znalazła zalet. Postać uczonego, siedzącego przy stole pochwycona jest doskonale.

Głowa wsparta na dłoni a zamyslenie w oczach; przez wyborne modelowane czoło przelatują myśli poważne. Tak — ta głowa, to czoło — myślą. Nie dość jest uchwyć podobieństwo rysów — ważniejszy jest stokroć odmalować duszę.

Ten portret ma duszę.

Bez zarzutu też jest koloryt ciała a wprost świetnie są malowane akcesorya. Ciężki fałd serwetki pokrywającej stół z ram wybiega, chce się zajrzeć do książki rozłożonej na stole i zobaczyć nad jakim to dziełem uczony się zamyslił. Odsunąłbym tylko nieco w głąb pulkę z książkami, od których niezbyt dobrze odstaje głowa siedzącego. Zarzut to mały — widzieliśmy rzecz piękną.

Kończąc pogawędkę smutnem wspomnieniem o s. p. Władysławie Podkowińskim. Szkoda życia, szkoda talentu, a najbardziej szoda tej młodości, która w samym rozwoju sił tak boleśnie starganą została. Tym liczny odprowadził zwłoki artysty malarza na miejsce wiecznego spoczynku, z za wienców nie było widać trumny. Zasłużył na łzę szczerą i pamięć długą.

27

BOLESŁAW PRUS

(Alexander Głowacki).

(Dalszy ciąg).

W powieści tej rzucają się w oczy odrazu dwa ważne błędy: pierwszy z nich polega na niezgodnym z rzeczywistością zakończeniu walki Slimaka z Niemcami; w praktyce życiowej widzimy, że w walce takiej chłop polski zawsze uleść musi, ponieważ wszelkie warunki wygranej są po stronie niemieckiej; tylko chyba jakieś wyjątkowe jednostki i przy wyjątkowych okolicznościach potrafią odnieść zwycięstwo; a Slimak jest jeno przeciętnym typem chłop polskiego, postawionego w takich właśnie warunkach, które bynajmniej nie zapewniają wygranej. Drugi błąd w powieści polega na tem, iż autor kreśli przebieg walki chłop z Niemcami w ten sposób, że czyni tych ostatnich zupełnie biernymi, skutkiem czego za wszystkie klęski, spadające na chłop, odpowiedzialność nie ciąży na kolonistach, którzy wciąż tylko się odgrają, obiecując zgnieść przeciwnika, ale w istocie nie mu złego nie czynią. Bo czyż można obwiniać Niemców o to, że Stasiak, dziecko Slimaka, tonie w rzece, biegnąc do nich, zachwycony śpiewem chóralnym; albo o to, że złodzieje kradną Slimakowi konie, mszcząc się za odebranie skradzionego u Niemców wieprza? Jedynym czynnym wystąpieniem kolonistów wobec chłop jest pozbawienie go możliwości zarobkowania przy budującej się kolei żelaznej; ale z drugiej strony fakt ten bynajmniej nie jest dotkliwym ciosem dla niego, ponieważ dotychczas i bez tego zarobku Slimak obywatel się doskonały, mając źródło dochodu z roli. Wprawdzie z przyczyny Niemców nie mógł on kupić kawałka łąki, potrzebnej mu do wyżywienia większej ilości bydła, to jednakże mogło w najgorszym razie pociągnąć za sobą sprzedaż krowy, kupionej niedawno, co również o ruinie chłop nie decyduje. W obecnym widzimy, że jeśli w powieści Prusa Slimak doświadcza tyle klęsk okropnych, zakończonych śmiercią żony, to bynajmniej nie z winy Niemców, a jeno dzięki okolicznościom, od nich niezależnym.

Z drugiej atoli strony i zalety tego utworu są olbrzymie; uwytatniają się one przedewszystkiem w wybornej charakterystyce chłop, charakterystyce tak dosadnej, tak wszechstronnej i subtelnej, z taką znajomością psychologii wieśniaka polskiego skreślonej, że śmiało możemy twierdzić, iż Slimak jest w naszej literaturze powieściowej jedynym dotychczas typem chłop tak głęboko zrozumianym i tak głęboko odczuty, jakkolwiek w obecnym

okresie naszego piśmiennictwa powstały już całe stopy mniejszych i większych utworów, osnutych na tle życia ludu wiejskiego.

Obok postaci Slimaka, wykonanej przez autora z właściwym mu realizmem po mistrzowsku i nie ulegającej najmniejszym zarzutom w oczach najsurowszej nawet krytyki, spotykamy w „Placówce” kilka jeszcze figur drugorzędnych, jak np. właściciela wioski, jego szwagra, Niemca Hamera, Maćka, parobka Slimakowego, i t. d. Wszyscy ci ludzie odmalowani są plastycznie i wiernie przez autora, strzegącego się wszelkiej ostateczności nawet w drobniejszych rysach. Zarzut nieprawdopodobieństwa może na siebie ściągnąć jedyna chyba scena w utworze, gdy Maciek, trzymając dziecko na rękach, objaśnia mu przesuwaające się przed nim osoby w maskarady, jadącej do dworu. Wskazując panów, przebranych za dawnych dostojników, parobek mówi: „Widzisz tego, co mu blacha wyziera z pod algierzy, a na głowie ma mosiężny kociołek? To wielki rycerz; tacy zawojowali pół świata dawnymi czasy, ale już dziś ich niema. A przypatrz się temu z siwą brodą i z kitą u czapki. To wielki pan i senator. Tacy dawnymi czasy pół świata trzymali w garści, ale już dziś ich niema”. Niepodobna wyobrazić sobie, ażeby w istocie ograniczony i głupkowaty, jakim jest w powieści parobek wygłaszał podobne zdania.

Atoli pomimo te wszystkie powieści p. t. „Placówka” w dziejach rozwoju talentu autora gra ogromną rolę. Bowiem strona artystyczna, technika w wykonaniu, spotęgowana już w „Anielce”, tu dopiero występuje w całej swej okazałości; obok tego poraz pierwszy w tym utworze spostrzegamy subtelny analizę uczuć ludzkich, świadcząca nie tylko o wprawie technicznej, ale i o głębszej intuicji, która odsłania przed autorem wszystkie ukryte przed oczyma zwykłego śmiertelnika kółka i sprężyny, stanowiące olbrzymią maszynę ducha ludzkiego.

Wkrótce po napisaniu „Placówki” rozpoczyna Prus pierwszą obszerną, bo trzytomową powieść p. t. „Lalka”, która w r. 1890 ukazuje się w wydaniu książkowym. Ubogi chłopak sklepowy Stanisław Wokulski, trawiony żądzą wiedzy, poświęca wolne od zajęć chwile nauce i pomimo szyderstw kolegów, dzięki niemałym zdolnościom przechodzi kurs nauk gimnazjalnych, a następnie, odurzony manią na punkcie wynalazków, mających uczynić wielki przewrót w nauce, słucha wykładów w Szkole Głównej; gdy atoli marzenia jego spełzły na niczem, przyeśnięty niedostatkiem, żeni się z bogatą wdową po kupcu i poświęca się całym interesom handlowym z takim zapałem, z jakim niedawno oddawał się nauce. Po śmierci żony, z którą nie zaznał szczęścia, odziedziczywszy sklep, przynoszący wielkie dochody, znowu wraca do książek, ale tym razem bierze się do nich z nudów, dla zapełnienia dziwnej pustki w sercu, pograżony w niewytlumaczonej apatii, z której ocknął się dopiero w chwili, gdy pewnego razu w teatrze ujrzał Izabelę Łęcką, pannę należącą do rodziny arystokratycznej. Odtąd rozpoczyna się nowa epoka w życiu Wokulskiego, który postanawia bądźco bądź zdobyć krocie, aby za ich pomocą wejść w stosunki z arystokracją i w ten sposób zbliżyć się do swego ideału. W tym celu wyjeżdża do Bułgarii, gdzie w czasie wojny tureckiej w ciągu dwóch lat zdobywa 300.000 rubli, które, łącznie ze znacznym kapitałem obrotowym sklepu, otwierają mu wprawdzie drzwi do salonów wielkopańskich, ale bynajmniej nie torują zarazie drogi do serca panny Izabeli. Wokulski na wsze strony hojnie sypie złotem, nie szczędzi niczego, by w jaknajkorzystniejszym świetle ukazać się przed swą ukochaną, która mimo to wszystko woli otaczać się tłumem wielbicieli, acz bardzo nisko stojących pod względem umysłowym i moralnym, ale pochodzących z tejże, co i ona sfery. Wokulski, jako człowiek uczciwy i bogaty, który wyświadczył wiele usług jej ojcu i którego uczciwości i praktyczności można ufać bezwzględnie, może zasługiwać na uznanie z jej strony i nawet otrzymać nominację, dajmy na to, na plenipotentę i doradcę rodziny Łęckich, ale, jako kupiec, dorobkiewicz, parweniusz, bynajmniej się na kochankę i tembardziej męża arystokratki nie kwalifikuje. Mimo to tysiące Wokulskiego powoli zrobiły swoje. Panna Izabela de-

cyduje się w końcu zostać jego żoną, nie wyrzekając się przytem swoich wielbicieli dobrego urodzenia. Jednakże Wokulski, przekonawszy się ostatecznie o płochliwości swej narzeczonej, zrywa z nią wszelkie stosunki i po kilku miesiącach, zrobiwszy testament, niknie z horyzontu; prawdopodobnie kończy samobójstwem.

Taką jest w ogólnych zarysach osnowa powieści; teraz przypatrzmy się głównemu jej bohaterowi. Autor powiada o nim, że jest to człowiek, który z niczego doszedł do olbrzymiej fortuny, widocznie tedy umiał robić majątek, i, co za tem idzie, musiał być człowiekiem trzeźwym, nawskróś praktycznym; tymczasem przed czytelnikiem Wokulski występuje—jako idealista, marzytel, częstokroć nawet jako pospolity i niezdolny mazgaj; ta właśnie sprzeczność w charakterze głównego bohatera stanowi jedyny, ale bądźco bądź niemałej wagi błąd w powieści. Wprawdzie w złożonej z najrozmaitszych pierwiastków naturze ludzkiej często możemy spostrzedz objawy wręcz sobie przeciwne, atoli istnieją w niej i takie przeciwieństwa, które żadną miarą z sobą w jednym człowieku pogodzić się nie mogą. Wokulski powiada o sobie: „We mnie jest dwóch ludzi, jeden zupełnie rozsądny, drugi waryat;” twierdzenie to w wielu razach może być najzupełniej słusznym, bowiem niejednokrotnie człowiek rozumny dopuści się strasznego głupstwa i również nieraz waryat wypowie myśl godną myśliciela; ale tak samo, jak niepodobna przypuścić, aby jeden i ten sam przedmiot był jednocześnie białym i czarnym, tak również nie sposób wyobrazić sobie człowieka, który byłby jednocześnie sprytnym aferzystą i niepraktycznym marzytelem. Dziwna rzecz zaiste, że autor właśnie sam wciąż kładzie nacisk na tę sprzeczność charakteru swego bohatera i przy każdej okazji mówi o niej, aczkolwiek przed oczyma czytelnika Wokulski, występując czynnie przezważnie tylko w stosunku swym do Izabeli, zarysowuje się jako skończony niedołęga, który dopiero w ostatniej chwili zdobywa się na pogardę dla kokietki i zerwanie z nią stosunków. O Wokulskim, jako aferzyście, dowiadujemy się z ust samego autora, który mówi nam, że dorobił się on ogromnej fortuny, ale w jaki sposób? Wokulski, rozważając swój charakter, powiada: „I ja to zgromadziłem przeszło pół miliona rubli w ciągu dwóch lat... ja, idealista, ja, uczony, ja, który przecie rozumiem, że pół miliona rubli człowiek nie mógłby wypracować przez całe życie, nawet przez trzy życia.” Istotnie jest to nielada zagadka, w jaki sposób nasz bohater, obracając nawet kapitałami bogatego współnika swego Suzina, mógł w ciągu tak krótkiego czasu dojść do takiej sumy, nie popełniwszy żadnego oszustwa i kradzieży. W dalszym ciągu w samym toku akcji powieściowej nie ukazuje się on nam ani razu jako człowiek czynny, energiczny, pracujący z korzyścią dla społeczeństwa; wprawdzie autor mówi, że Wokulski kieruje interesami sklepu i zawiązanej przez siebie spółki do handlu z cesarstwem, do której wciąga arystokratów, tu i ówdzie zarabia naraz po kilkadziesiąt tysięcy rubli, ale czytelnik nigdzie nie spostrzega czynnego wystąpienia bohatera, który natomiast wciąż wdycha do panny Izabeli i tylko jakby od niechcenia kiedyniekiedy wyciąga rękę, by włożyć do kieszeni płynące zewsząd ku niemu pieniądze.

Chcąc tedy wykazać te niepospolite zalety, które mi celuje powieść Prusa, należy przedewszystkiem zapamiętać, jeśli można, o Wokulskim, jako aferzyście, dorobkiewcu, a natomiast skupić całą uwagę na Wokulskim, jako niefortunnym konkurencie panny Izabeli, t. j. rozpatrywać go takim, jakim się on faktycznie w czynach swoich przedstawia w powieści. Wówczas uderzy nas najpierw owa subtelna, a obok tego głęboka analiza ducha ludzkiego, która poraz pierwszy, jak rzekłem wyżej, występuje w „Placówce.” Autor poświęcił jej obecnie całą dużą powieść, plastycznie uwydatniając wszystkie stopnie miłości, przez które bohater jego przechodzi, i te uczucia i namiętności, które ona w pierśiach jego wyradza. Wokulski to, jeden z tych ludzi, którzy się dziś coraz rzadziej ukazują wśród społeczeństw, żyjących raczej głową niż sercem. Jedną z bohaterów powieści powiada do niego: „Sądziłam, że pan jest człowiek zimny, rachunkowy... Tymczasem co widzę? Marzyciela, średniowiecznego trubadura, który wymyka się do lasu, ażeby

wzdychać i wypatrywać zeszlotygodniowe ślady jej (Izabeli) stóp. Wiernego rycerza, który kocha na życie i śmierć jedną kobietę, a innym robi impertynencje. Ach, panie Wokulski, jakie to zabawne, jakie to niedzisiejsze!” I miała zupełną słusność w takiej ocenie bohatera. Wokulski to jakby echo ostatnie z ubiegłej epoki romantycznej, to niby Gustaw Mickiewiczowski, żyjący wśród obecnych warunków i różniący się od swego poprzednika o tyle, o ile realizm Prusa różni się od idealizmu Mickiewicza. Marzycielskie usposobienie Wokulskiego rozwinęło i spotęgowało czytanie zamłodu naszych romantyków. Doktor Szuman powiada: „Czy to w piwnicy Hoptera, czy to na stepie tak się karmił (Wokulski) Aldonami, Grażynami, Maryłami i tem podobnymi chimerami, że w pannie Łęckiej widzi bóstwo. On się już nie tylko kocha, ale uwielbia ją, modli się, padałby przed nią na twarz.” A przedtem i sam bohater, otworzywszy tomik Mickiewicza, powiada z gorczyzą o poetach z pierwszej połowy b. s: „Zmarnowaliście życie moje, zatruliście dwa pokolenia! Oto skutki waszych sentymentalnych poglądów na miłość.” Czy jest to choć w części słuszny sąd, wydany przez Wokulskiego, któremu w tej chwili suferuje sam Prus, nie będziemy się zastanawiali, zauważymy tylko, że zupełnie to samo mówi Gustaw w „Dziadach.” „Młodości mojej niebo i tortury. One (książki) zwichnęły osadę mych skrzydeł i wylamały do góry i t. d.” Słowa te są jednym z wielu dowodów, że i Mickiewicz również potępiał ongi marzycielstwo, jak i dzisiejsi pisarze.

Wokulski, jak zwykle marzyciela, jest człowiekiem o bardzo słabej woli, co znakomicie uwydatnił autor w stosunku swego bohatera do panny Łęckiej. Czy ta słabość jego uwydatnia się i w życiu codziennym, w stosunkach z ludźmi, nie wiemy; przypuszczamy tylko, że człowiek, który robi krocie i kieruje dobrze interesami sklepowymi i spółki handlowej, musi się chyba odznaczać pewną tężyzną charakteru, ale na tę działalność bohatera naszego, jak rzekliśmy wyżej, spuszcza zasłonę, aby uniknąć nieprzyjemnego rozdźwięku. Tę słabość woli niezmiernie konsekwentnie i plastycznie maluje Prus aż do samego końca dramatu, gdy Wokulski ostatecznie zdobywa się na zerwanie z narzeczoną, ale i sam ginie. Nieszczęsna ta miłość stała się dla niego warunkiem życia i tak spopieliła wszystkie jego uczucia, pragnienia i myśli nawet, że gdy nastąpiło rozezarowanie, stał się absolutnie niezdolnym do życia; nie był on bowiem z rodu tych, którzy, umiłowawszy wyższe idee, w chwilach zawodu szukają ukojenia w zacie pracy dla ogółu. Ta poziomość jest tedy trzecią charakterystyczną cechą Wokulskiego. Może mimo woli i chęci autora nie przerasta on ani o włos zwykłego śmiertelnika, a skutkiem takiej właśnie tużinkowości i pospolitości swojej bynajmniej nie budzi w czytelniku żywszego współczucia wobec miłosnych cierpień swoich, i smutny koniec tego romanisu nie wywiera żadnego wrażenia głębszego, wywołując chyba tylko uczucie litości dla bohatera powieści, uczucie takie, jakiegoby się wstydził dla siebie każdy wyższy duchem i umysłem człowiek.

Obok Wokulskiego występuje druga pierwszorzędną postacią, typ kokietki arystokratki panny Łęckiej, dla której najwyższym zadaniem w życiu jest przyjmowanie hołdów od tłumy wielbicieli, zręcznych salonowców i z pustą głową i sercem indywiduów. Panna Izabela jest jednym z tych okazów wśród ludzi, które przerażają nas straszną próżnią w pierśi i brakiem jakiegobądź zacniejszej myśli.

Trzecią nakoniec ważniejszą figurą w powieści a świetnie nakreśloną przez Prusa jest stary subjekt i przyjaciel Wokulskiego Ignacy Rzecki, człowiek „starej daty”, wierzący niezachwianie w gwiazdę Napoleonidów, marzytel polityczny. Jest to jeden z najsympatyczniejszych typów ludzi, którzy dziś stopniowo znikają już z horyzontu i których niebawem tylko w powieściach przysypanych kurzem można będzie odnaleźć. Pod względem mistrzowskiego wykonania jest to pierwszorzędnej wartości postać, której podobnych bardzo niewiele możemy znaleźć w naszej literaturze powieściowej.

Oprócz tych trzech głównych figur przesuwa się przed naszymi oczyma w „Lalce” cały szereg osób drugorzędnych, jak np. arystokraci, żyd, lichwiarz, układający szarady, subjecki sklepowi, studenci i t. d., a wszystkie one żyją, ruszają się, działają i w całym tym kalejdoskopie, przepromienionym świetnym hu-

morem autora, zachowują właściwe sobie, oryginalne cechy. Co prawda znaczna część tych postaci i faktów z niemi związanych bardzo luźnie łączy się z główną osnową utworu, a nieraz absolutnie nie wspólnego z nią nie ma; jednakże owe epizody bardzo wistocie są cenne, będąc użytymi gwoli urozmaiceniu niejednokrotnie zbyt monotonnego, a temsamem nużącego toku opowiadania.

(Dokończenie nastąpi).

Miechał Cervantes.

(Dokończenie).

Podróż z Hiszpanii do Włoch pełna wrażeń w obec rozognionych zapalem rycerzy, którzy pod sztandarem krzyża śpieszyli jeżeli nie zwyciężyć pohańców to umrzeć, podniosła i tak już gorącą wyobraźnię młodzieńca, a nie brakowało tu dramatów, które przychodziły wstrząsać nim silnie. Zastępy hiszpańskie organizowały się we Włoszech; don Juan de Austria stanął na ich czele, Papież oddał mu dowództwo całej wyprawy, a ten dzielny i rzadkiej piękności młodzieniec pokonał niemało niebezpieczeństw, złamał niemało przeszkód, aby ująć w dłoń dzielną rozwiniętą sztandar krzyża. Król Filip wzbraniał mu tego, bo gdy sam wycofał się tchórzliwie z areny na której rycerstwo chrześcijańskie stawiało zapórę najazdowi dzieczy pogańskiej, nie chciał aby brat młodszy stanął przed oczyma narodu i Europy chrześcijańskiej jako rycerz dzielny bez trwogi i zarzutu. Wśród tej walki głuchej, toczzonej między niemi, występuje godna wspomnienia postać kobiety. Bosy karmelita, nieznanemu nikomu, w kapturze zastaniającym mu niemał całe oblicze, zjawia się na dworze królewskim i zowiąc się posłańcem bóżym prorokuje, że Don Juan zbawi chrześcijaństwo i zetrze w proch potęgę dzieczy muzulmańskiej.

Była to kobieta, pani dostojnego rodu, księżna Cardonne, która pod wpływem gorącego uczucia pobożności, podniesionego wrażeń walki z Maurami, wstąpiła do klasztoru i przez lat dzieścię nie dawała znać o sobie, lecz teraz zapragnęła poznać kraj i bronić wiary Chrystusa, której obrońcą jedynego widziała w Don Juanie. Choć król razem tchórzliwy i zazdrosny sprzeciwia się temu, przecież teraz już nie jest zdolnym powstrzymać ludzi, w których rozbudzony zapal przytłumić już się nie pozwala, a ogarniając wszystkie sfery, pecha do walki z pohańcami, a serce artysty uderza w pierśi gorąco. Wstępuje do szeregów, które z dniem każdym stają się liczniejsze, do kompanii Diego de Urbino, a wszystko co żyje stroi się tu jak na wesołe jakieś igrzysko i serce poety bije tętnem zdwojonym.

Galera, która niosła artystę, *La Marchesa*, nie była przecież tak silnie miotana przez wiatry i fale, jak serce i wyobraźnia młodzieńca przez dumę, przez nadzieję, a głęboka wiara w świętość sprawy podniecała go tak, że młoda krew wrzała zbyt gwałtownie i dostał gorączki, która zmusiła go położyć się w łóżko. A tymczasem brzegi Grecyi są coraz to bliższe, galera przybywa pod Sepant, gdzie zastaje flotę turecką, która rozwija natychmiast żagle. Don Juan ustawia ją w szyku bojowym, a chwytając krzyż w rękę siada w łódź, opływa statki z podniesionym w górę godłem Chrystusa, a widok ten wznieca we wszystkich piersiach zapal gorący, hymn do Bogarodzicy rozlega się daleko w powietrzu a serce Cervantesa uderza i nagle cudowna jakaś moc wzmaga w nim siły, staje w szyku bojowym i stacza walkę, która staje się zaciętą. Chrześcijanie poprzysięgli sobie, że pójdą raczej na odpoczynek wieczny w głąb fal, niżli by tak oni, jak godło krzyża dostać się miało pohańcom, którzy nie mogą też odeprzeć gwałtownie przypuszczonego szturm. Dowódca hiszpański, Lopez de Figuerra zdobywa chorągiew, wydartą z rąk przesytego szpada chorążego i następuje chwila więcej niżeli tryum-

fu, gdy ją podnosi ku górze przed oczyma piętnastu tysięcy chrześcijan niewolników, którzy stają się naraz wolnymi i głosy ich biją pod niebiosa dźwiękami pieśni dziękczynnej: Chwała Panu na wysokościach...

Cervantes do najpóźniejszej starości pamiętał i wspominał ten moment wielki, a hymn, który go opiewał mieścił dumnie te wyrazy: „I ja tam byłem... ja żołnierz prosty brałem udział w wielkiem tem dziele!...“ Ciężko rannego umieszczono w szpitalu w Messynie, przecież zwycięstwo pod Lepantem choć zostanie na wieki w historii, nie przyniosło takich korzyści, jakie osiągnąć było można, bo pycha ludzi próżnych, interes osobisty nie dozwoliły, aby wielkie dzieło wydało skutki wielkie. Don Juan położył węgielny kamień potęgi chrześcijan, potęgi hiszpanów przez zbudowanie fortu pod Tunisem, w którym mogło się pomieścić osiem tysięcy załogi, a Cervantes zyskał wśród tych starć i obrazów krwawych wspaniałe pole dla wyobraźni swojej, bo poznał starożytną Kartaginę, stapał po ziemi Dydony.

Dzieje tych czasów zostały uwiecznione w sonetach jego wspaniałych, a własna postać poety maluje się tu w rysach szlacheckich. Krew jego popłynęła nieraz jeden, lecz nie uskarżał się na to nigdy a przeciwnie chlubił to jego było i jakoby tytułem do chwwały, nie opartej na próżności, ale uczuciem szlacheckim pojętych obowiązków człowieka, iż cierpiał dla dobrej sprawy, jak to wyraża w jednym z sonetów swoich, że choć w pierśi jego krwawiła się rana głęboka, choć ręka jedna, na szczęście lewa, była zgruchotaną, duszę jego przepełniała radość tak wielka, że zapomniał o tem, jakkolwiek cierpienie było tak silne, że rycerz ten, który mógł dźwignąć zbroję żelazną mdlał jak słaba niewiasta, a zimę całą przeleżał w Messynie w lazarecie. Przecież z ciepłem teńniem wiosny stanął znowu dzielnie w szeregach, już nie ojczystych ale włoskich, bo wiodła go tam idea, której służył wiernie.

Don Juan, przybył też z wiosną do Włoch, Cervantes znalazł się zaraz w jego szeregach, ale wyprawa ta nie przyniosła pożądaných skutków. Papież, Grzegorz XIII nie umiał wstrząsnąć sercami ludzkiemi tak, aby uderzyły gorąco; na szeroką skalę pomyślane plany don Juana nie znalazły odpowiedniego wykonania; potęga turecka wzmogła się, w walkach z nią padają najdzielniejsi rycerze, osaczone zastępy hiszpańskie dostają się do niewoli, gdzie związani, przygnębieni, służyć muszą dzikim panom swoim i poeta w uniesieniu boleści, nie z własnych ran, nie z własnych cierpień jedynie pochodzącej, woła, że „szczęśliwe są duchy wyswobodzone z więzów życia, jeżeli uświęcone przez czyny bohaterkie uleciały z ziemi w sfery niebios wysokie.“

Cervantes przeżył jeszcze ciężkie próby życia, przecierpiał okrutny jassyr pogański, ale duch jego nie upadł nigdy i szlachetna postać poety, świecić może przykładem, jak dostojnie znosząc cierpienie podnieść się można po nad nie i zwyciężając odtrącić od siebie.

F.

BLUSZCZ

OBRAZEK Z ŻYCIA RODZINY

przez

Maryana Gawalewicza.

(Dalszy ciąg).

Z takich drobiazgów wytwarzały się jednak dla Wicuni nieznośne kolizye; postawiona, jako matka i jako żona między dwoma babkami, musiała godzić wszelakie sprzeczności i utrzymywać równowagę, co nie zawsze jej łatwo przychodziło.

Od głupstwa się zaczynało, ale kończyło na poważniejszych rzeczach, które w żadnym logicznym związku nie stały z tem, czy Kazio miał ładniejszy lub brzydszy nosek od Munia, czy był podobniejszym do ojca lub do matki; to dawało tylko pretekst jednej lub drugiej babce do wysnuwania zaraz rozmaitych wniosków, insynuacji, do robienia wymówek, docinków z początku w formie dyskretnej i ogłędnej, ale stopniowo wstępujących do formalnych wyrzutów i oskarżeń.

— Myślałam jednak, że sobie wychowam w tobie pociechę na stare lata, — z żalem mówiła babka Lidzka, — a jak widzę moja Wicuniu, odwdzięczasz mi się nie tak, jak powinnaś, o nie!...

Grosiecka innej trzymała się metody; kiedy babka uderzała z góry, od razu, jak mfolek, świekra wierciła powoli, długo, wytrwale, jak świderk.

Uważała się za zapoznaną, za pokrzywdzoną, za nieszczęśliwą.

— Mój Boże, cóż ja tu znacze!... — wyrzekała, — póki miałam tylko syna, wolno mi było mieć swoje zdanie, szanowano mnie inaczej, a dzisiaj pani synowa jest pierwszą osobą a stara matka w kącie pozstała. Starej matce odezwać się nie wolno. Tegom się doczekała!... ale trudno, to już taki nasz los matek nieszczęśliwych. Żeby była miała córkę, byłoby wszystko inaczej.

Przypijała niby do swego Walerka za to, że pozwała ją na drugi plan usuwać a mierzyła wprost do synowej, mając do niej o wszystko pretensję.

Nawet kiedy jej podano kawę mniej osłodzoną lub za mało mleczną, uważała to sobie za uchybienie, za powód do urazy, bo:

— Pani Lidzkiej-by tego nie zrobiono w tym domu.

„Ten dom,“ to był dom jej syna, który dawniej przed jego ożenieniem był także jej domem własnym, ale teraz odkąd w nim rządziła synowa i synowej „familia,“ wszystko się zmieniło, wszystko zepsuło; nawet Walerek, jedyny, niezrównany, najukochańszy Walerek, nie bywał już tym samym Walerkiem, jej jedyną pociechą, jej umiłowaniem dzieckiem.

O, nie!...

— Ale, gdzie tam!... co tu gadać?... teraz ma swój dom, ma swoją rodzinę, o matkę nie stoi, nie dba więcej, ja mu jestem niepotrzebną, — ze smutną miną ofiary z przywidzenia utyskiwała niby w monologu głośnym do siebie; — ja nie wiem, po co mnie Pan Bóg jeszcze na tej ziemi trzyma!...

Z każdym rokiem stawała się bardziej wymagającą i drażliwszą; o byle co się obrażała i trzeba ją było przeproszać, perswadować, sprowadzać z wielkimi ceremoniami, aby przy najbliższej okazji znowu się zadąsała, pogniwała, obrażała i do nowych wyrzutów powód znalazła.

Kiedy Grosieckim na świat przyszła córka, z której Walery był bardzo zadowolony, matka jego nie podzielała wcale tego zadowolenia; uważała, że tej pociechy zaczyna być za dużo w domu jej syna.

Widział to kto, aby w kilku latach młodemu małżeństwu przybyło aż troje dzieci!...

— Co rok, to prorok! — skarżyła się, jakgdyby ten wypadek obciążał bardziej ją, niżeli jej synową.

Obawiała się, że za wiele obowiązków będzie miał Walerek na głowie.

— On to przecież wychować musi! — mówiła, — dzieci kosztują, a jemu przecież się nie przelewa. I tak pracuje już ponad siły; zmizerował się biedaczysko, że aż serce boli patrzeć na niego.

Wyglądało to tak, jakby po prostu żal miała do Wicuni, że syna jej obdarza pociechami nazbyt licznymi, przy takiej drożyznie do tego.

Dawniej byłaby ostatni grosz oddała Walerkowi, teraz zaczynała mu skąpić, nie dlatego, żeby mu żalowała — broń Panie Boże, — wcale nie, tylko, że przecież sprawiedliwie rzeczy biorąc, powinna być i babcia Lidzka ze swojej strony także pomagać młodemu małżeństwu.

Zkądże znów ona jedna miała zciążać się z ostatniego?..

Co innego, gdy Walerek był sam, no to jeszcze, ale odkąd się ożenił z Wicunią, odkąd miał dzieci, odkąd babcia Lidzka zabrała niemał na własność drugiego wnuka, odkąd najniepotrzebniej tak prędko na świat przyszła Pola, i t. d. i t. d. — od tego czasu przecież powinny były podzielić się względy i obowiązki dwóch babek.

Rozumowała w ten sposób, nie tając przed synem, że:

— Mogłaby Lidzka pomódz wam czem od czasu do czasu; przecież widzi, że się u was nie przelewa!... Wielka historia, że Wicuni darowała na imieniny ten jakiś szlafroczek, no to ja, nie wymawiając, dałam jej na gwiazdkę mój własny zegareczek złoty, emaliowany, z perełkami i z moją cyfra.

Wprawdzie zegarek nie chodził od kilku lat i był zepsuty, bo się jakoś Grosiecka nigdy nie mogła zdobyć na to, aby go dać do naprawy, ale zawsze, emaliowany był i wysadzany perełkami i zewnątrz wyglądał zupełnie tak, jakgdyby chodził; można było nawet oszczędzić sobie kosztu na zegarmistrza, bo i po co?... taki zegareczek to się nosi więcej na pokaz, dla ozdoby, zamiast medalionu przy broszce, niżli dlatego, aby wiedzieć która godzina.

O tym podarunku lubiła mama Grosiecka opowiadać rozmaite historie z jego przeszłości, nie tyle, żeby były bardzo szczególne i ciekawe, ile dla przypomnienia synowi i wykalania oczu Lidzkiej dowodem swojej szczodrobliwości.

— Ja tam zegarka żadnego nie potrzebuję, — mówiła — chociażby mi się przydał, kiedy wychodzę do kościoła, bo się teraz zawsze czegoś spażniam na mszę. Nieboszczyk mąż przyniósł mi go akuratnie, kiedy mi się Walerek urodził!... pamiętam ten dzień, jakby to wczoraj było. Przynosi mi pudełeczko zawinięte i powiada: „Mamciu,“ — zawsze mi mówił: Mamciu, nigdy inaczej!... powiada: „Mamciu, masz to za syna!...“ — A ja rozwijam i omal go z rąk nie wypuściłam wtedy z wielkiej uciechy, bo mi aż ręce zadrzały z radości.

Wszystko to było sobie ot tak, od niechęcenia ni by opowiadane, ale miało na celu przypomnieć Wicuni, że dla niej świekra pozbyła się przecież tak drogocennej pamiątki, związanej ze wspomnieniami jej najpiękniejszych lat i z najukochańszym Walerkiem.

Słuchając tych gładkich, ale i wyostrzonych przymówek, Wicunia uciuwała wielką ochotę pójść do swojej szafki, wyjąć emaliowany zegareczek, przynieść go Grosieckiej i oddać ze słowami:

— Moja mamu, niech mama sobie zabierze napowrót swój prezent, bo ja i tak nie korzystam z niego. Tak mało bywam gdziekolwiek, tak rzadko się stroję, nawet do teatru teraz nie chodzę, bo niema dzieci komu wieczorami zostawiać!..

To była prawda; od czasu zamążpójścia, nie ruszała się prawie z domu.

Ciągle jej coś przeszkadzało, ciągle była zajęta, że nawet na swoją ulubioną operę wybrać się nie mogła, chyba raz na jakiś czas i to o tyle, o ile Walerek dostał bilety, bo przecież szkoda było kupować.

Mało to innych potrzebniejszych wydatków mieli w domu?..

On sam, jako „pan profesor“ wyrobił sobie wolny wstęp do teatru i co wieczór prawie zachodził na operę a nawet na balet, bo go interesowała muzyka, śpiew, który przecież był jego specjalnością, wszystkie debiuty, występy, nowe primadony, przyjezdne znakomitości.

Jako rzeczoznawca stanowił część krytyki, opinii, wydawał sądy, robił uwagi, które podchwytywali reporterzy teatralni i recenzenci, zaślaniając się często jego powagą.

— Grosieckiemu się Maurel nie podobał, — mówiono w antraktach, — powiada, że to gadanie muzyczne ale nie śpiew.

Innym razem znowu powtarzano jego dowcipy: — Ta Giurini dobrze się nazywa, bo ma dziurę w gardle, przez którą całe stado kogutów przeleci.

Znał wszystkich artystów, całą prasę, tykał się z redaktorami, witał z każdym ze stałych bywalców teatralnych i w krzesłach czuł się, jak u siebie w domu.

Ostentacyjnie przechylał się przez baryerę, podając rękę dyrektorowi w orkiestrze i robił mu fachowe uwagi; uśmiechał się do śpiewaków i śpiewaczek na scenie, składając ręce do oklasku i wyrażając swoje wysokie uznanie półgłosem w trakcie śpiewanej arii:

— Bravo!.. bravo Edziu!..

Publiczność patrzyła na niego a ci, którzy go dotąd nie znali, pytali się:

— Kto to jest ten brunet w drugim rzędzie?.. to musi być jakiś artysta albo redaktor.

— Grosiecki! — odpowiadano, — nie znasz Grosieckiego?.. jak to być może!..

Damy z łóż lornetowały go i witały skinieniem głowy, miał bowiem znajomych i uczennice we wszystkich sferach.

Pochlebiali mu to, że zwracano na niego uwagę, gdzie się ukazał.

Niektórzy nazywali go „maestrem“, ze względu na jego stosunki z Włochami, którzy przyjeżdżali śpiewać do Warszawy a z którymi zaprzyjaźniał się od razu po poznaniu; oprowadzał ich po mieście pod ramię, jeździł na spacer, chodził na śniadania i kolacje, popisując się wszędzie swą popularnością.

Mówił po włosku, po francuzku, po niemiecku i lubił głośno w przejściu z krzeseł, w kurytarzu, za kulisami używać obcego języka, aby ludzie wiedzieli, że jest poligłota.

Kłaniał się, uśmiechał, podawał ręce, rzucał oderwane słówka na wszystkie strony i bawił doskonale co wieczór w teatrze a po przedstawieniu szedł na kolację do pierwszorzędných restauracyi z dobraną „paczką“ albo na proszone herbatki, wystrojony we frak, w biały krawat, z tuberozą w dziurce od guzika, z szapoklakiem w rękę, z którego wzywały lapisowe rękawiczki, które mu dla oszczędności Wicunia sama prała w benzynie.

Wielu brało go za kawalera, nie wiedząc, że był żonatym, bo go z żoną prawie nigdy nie widywano.

Ona po całych dniach siedziała w domu, a wieczorami cerowała jego skarpetki lub swoje własne pończochy, krajała sukienki dziecinne i szyła na maszynie do późnej nocy przy lampie, czekając jego powrotu.

To go zazwyczaj w zły humor wprawiało; widok zapracowanej Wicuni był dla niego jakby wyrzutem, z którym się spotykał zaraz na progu domu, więc zamiast powitania występował z wymówką:

— Co to?.. ty jeszcze nie śpisz?.. prosiłem cię tyle razy, abyś po nocach nie szyla!.. przecież na to dosyć jest czasu za dnia. Psujesz sobie oczy niepotrzebnie a mnie tem tylko przykróś sprawiasz.

Odwracał się z grymasem i wyrzekał:

— Ach te kobiety! w niezem umiarkowania.

Nieraz przechodził i gasił jej lampę przed nosem, choć się go prosiła:

— Mój drogi, jeszcze tylko parę ściągów!.. zaraz skończę.

Udawał zagniewanego i kładł się spać z urazą do żony, że swoje zdrowie jemu na złość naraza.

Było w tem jednak więcej egoizmu, niż rzeczywistej troskliwości i współczucia dla niej.

Nie znaczyło to, aby jej nie kochał, ale kochał ją po swojemu; przyzwyczajony był więcej brać niż dawać uczucia, wychowany tak od dzieciństwa przez matkę, zaślepioną w miłości dla jedynaka a przekonany o urojonych przywilejach, jakie mu natura dała, stworzywszy go na artystę.

Potrzeba było na to tak łagodnej, dobrej, wyrozumiałej istoty, jaką była jego żona, aby te przywileje uznawała i szanowała je, chociaż były nieuprawnione niezem poważniejszym.

Kiedy jej babka robiła uwagi, że za dużo zostawia zięciowi swobody, zanadto jest uległa a za mało wymagająca, odpowiadała:

— Moja babciu, on to zupełnie co innego; musi żyć z ludźmi, jemu to potrzebne dla stosunków, — zresztą, przywykł do tego a mnie by to nie bawiło. Mnie najlepiej w domu z dziećmi. A potem my nie mamy na tyle, aby żyć na wielkiej stopie i prowadzić dom otwarty. Bywając we dwoje, musielibyśmy przyjmować, urządzać wieczory, chodzić z wizytami a na to nie ma ani dość pieniędzy, ani czasu. Już tak, jak jest — jest najlepiej.

Pozwalała też swojemu Walerkowi bywać bez niej wszędzie, nie narzucała mu się, nie upominała o żadną rozrywkę, o żadną przyjemność poza domem, a kiedy wyswieżony, wyelegantowany na wieczór lub do teatru, przechodził z nią się pożegnać, poprawiała mu sama krawat, podawała rękawiczki, perfumowała miękki fular do nosa i nieraz wpinając mu kwiatek w butonierę, mówiła z uśmiechem:

— A baw się dobrze, tylko nie zabałamuć się do późna!..

Obejmował ją wpół, przyciskał czule do siebie, całował w oczy i w pozie Fausta, ściskającego Ma-

gorzate w ogródku przy świetle księżycy, żegnał ją nucenym recitativem:

— Dobranoc!.. dobranoc skarbie mój, dobranoc bóstwo me!..

Spieszno mu było zawsze wyostać się jak najprędzej z domu; dzieci całował w powietrzu, zarzucał na siebie okrywkę lub futro i owinawszy starannie szyję jedwabną chustką (zawsze jeszcze obawiał się chrypki), włożywszy na nogi kalosze, wymykał się na schody, jakgdyby się obawiał spóźnić na kolej.

A ona zostawała na gospodarstwie, robiła porządki, składała jego ubranie porzucone w nieładzie przed tualetą i zabierała się do zycia lub cerowania, rozmyślając nad tem, gdzie też jej Walerek teraz bawi, co porabia, z kim rozmawia?..

Przykro jej było tylko, że sama widzieć tego nie może, jak go podziwiają, jak słuchają, jak go sobie zapewne wyrwują, bo i jakżeby inaczej być mogło?

Taki ładny, taki miły, taki artysta, tak się zna na sztuce, tyle bywał w świecie!..

Nieraz jej się smutno robiło w tej samotności przy tykotaniu zegaru na ścianie i turkotu maszyny do zycia, gdy się dzieci pospały i w całym domu zaległa cisza a z kuchni dochodziło tylko ziewanie służącej, zmywającej statki po herbacie lub pomrukiwanie Nera, który układał się u nóg jej i zasypiał, marząc o muchach prześladowających go za dnia lub o chłopakach z podwórza, którzy go z figłów ciągnęli za ogon albo śniegiem na niego rzucali.

W takiej głuchej, nocnej, osamotnionej pustce przechodziły Wicuni do głowy rozmaite myśli weale nie wesołe i budziły się refleksje, często gorzkie i przykre, kiedy porównywała świat swoich panieńskich marzeń z rzeczywistością, swoje sny na jawie z tem, co się jej wysniło naprawdę.

Nie chciała robić porównań, same się narzucały a potem jakiś głos zaczynał szeptać jej nad samem uszkiem:

— I co masz z tego wszystkiego?.. co ci przyszło z tego, żeś została żoną artysty?.. gdzie ta poezya, której się spodziewałaś?.. gdzie ta sztuka, której urok cię tak nęcił?..

Cichy, tajony żal napływał wtedy w jej serce, podnosił się coraz wyżej i wyżej, wypełniał pierś całą, cisnął się aż do oczu i grubemi łzami spadał na sukienkę szytą dla Tatusia lub Munia.

Przestrzażała się tych łez, jak czego złego i zcierała je szybko łokciem, aby śladu nawet nie zostało, bo niechby broń Boże, Walerek zeszedł ją kiedy tak płaczącą, co by sobie jeszcze pomyślał!..

Pomyślałby, że nie jest z nim szczęśliwą, że ma jakąś zgryzotę, jakieś zmartwienie, które przed nim ukrywa, a wtedy, gdyby ją spytał:

— Co ci jest?.. co ci się stało?.. czemu płaczesz? — cożby na to odpowiedziała?..

Nie wiedziałyby nawet, jak ma się wytłumaczyć, co powiedzieć, na co złożyć ten smutek i te łzy; to już lepiej, aby tego nie widział, aby o tem nie wiedział ani on, ani babka, ani żadne z dzieci, ani nikt, tylko ona sama i Pan Bóg, któremu nie potrzeba niczego mówić, bo On sam wie to wszystko, co w takich biednych, smutnych, rozplakanych duszach się kryje i każdą taką łzę wylaną liczy i waży na szali sprawiedliwości.

Czasami czuła się tak jakąś samotną i opuszczoną w swoim własnym domu, w tym domu, który miał być jej rajem, jej światem, jej wszystkim, że się jej wydawało, jakgdyby nocą błądziła po pustyni i chciała wołać na cały głos — ale kogo?... tego nie wiedziała dobrze i bała się w tej samotności usta otworzyć, bo z ludzi niktby nie odpowiedział, a Pan Bóg i tak słyszy najłżejsze tętno sere ludzkich, zwłaszcza smutnych i bolejących.

Ale potrzeba było tylko, aby w kołysee zakwiliła jej malutka Pola, aby Munio się poruszył w łóżeczku, albo Tatus zbudzony ze snu, rozgrymaszonym głosem zawołał:

— Mamo, pie!.. — aby wszystkie takie myśli pierzchały od razu, ginęły jak mgła przy wschodzie słońca, aby zapominała o sobie, o całym świecie i spieszyła do drugiego pokoju, do „dzieciurnika“, jak nazywała sypialnię swoich maleństw, zakolysała jedno, okrywała drugie, napiła trzecie i z twarzą roz pogodzoną, uśmiechniętą, łagodną, dziwną dobrocią i jasnością duszy wracała do swojej roboty.

Nieraz zbudzony Nero powstawał z podłogi, przeciągnął się, ziewnął, podchodził do niej, kładł jej

swój czarny, wąsaty pysk na kolanach i patrzył się bystro w jej oczy, machając ogonem, jakgdyby miał ochotę przemówić do niej i spytać:

— Moja pani, dlaczego pani nie położysz się spać, jak ja, albo nie pójdziesz się bawić, jak mój pan?... co to jest?... mnie się nudzi tak samemu w domu!... Proszę mi zaraz rzucić piłkę albo cokolwiek do apertowania!... no!... bo zaczęły szczeleć i pobudzić dzieci.

Miał taką minę, jakby jej wymówki robił, że on, pudel, faworyt swojego pana nudzić się musi przy niej; zresztą jej to wolna wola, ona jest żoną jego pana, ale on jest psem i nie ma ochoty poddawać się ludziom zwyczajom.

Głaskała go po kudłatym łbie, jakby na podziękowanie, że przecież jest ktoś, co sobie o niej przypomina w tej samotności i cichym szeptem, aby nie obudzić dzieci, mówiła do niego:

— Nero!... Neru!... Nerusieczek!... dobry pies, grzeczny pies!... siedzi ze swoją panią w domu, pilnuje swojej pani, —kocham Nerusia. Piesek dostanie kawałek cukru za to i kosteczkę z baraniny, co została od obiadu. Tylko cicho bądź, ani mru-mru, bo Tatusz śpi, i Munio śpi, i Pola śpi!...

A Nero łbem kręcił, jedno ucho odchyłał, jakgdyby chciał lepiej usłyszeć, parskając nosem, nogę podnosił i zdawał się pytać:

— No, a gdzie ten cukier?... gdzie ta kość?

Zupełnie jakgdyby się domagał wynagrodzenia za to, że dotrzymywał pani swej towarzysztwa.

Czasem z drugiego pokoju wśród nocnej ciszy zabrzączała łańcuszek i nagle ni ztąd, ni zowąd papuga zaskrzeczała:

— Durreh!...

Ten udawany głos ludzki sprawiał zawsze nieprzyjemne na Wicuni wrażenie; otrząsała się wystraszona i serce jej bić zaczynało; od pewnego czasu coraz częściej uczuwała, że ma nerwy, które jej dawniej nigdy się nie przypominały.

Tak—zwłaszcza od urodzenia Poli,—upływały jej dnie całe, wieczory, noce, miały tygodnie i miesiące i życie toczyło się jakąś wąską, ustrońną, bochną ścieżką, która zdawała się coraz bardziej oddalać od świata...

Grosiecki przyzwyczajony do swego trybu życia, zajęty przeważnie sobą, w dzień dawał lekye to u siebie, to na mieście, wieczorami dla rozrywki i wytchnienia „po pracy“ szukał towarzysztwa i wrażeń, a Wicunia zaprzęgała się coraz więcej w koło swoich macierzyńskich i gospodarskich obowiązków, nie czując, że one więżą ją na ograniczonym obrębie deptaka codziennych zajęć i każą wyrzekać się powoli ale stale wszystkich iluzji, jakich pełną była tak niedawno jeszcze jej dusza.

— Moje dziecko, ty jesteś egzaltowaną, wiesz ty o tem? — mówił jej mąż, gdy próbowała niekiedy nakierować z nim rozmowę na jakiś przedmiot oderwany od pospolitej prozy życia i gospodarskich kłopotów.

Nie rozumiała, dlaczego on to egzaltacją nazywał; przecież był sam artystą, przecież go musiały zajmować idealniejsze strony życia, przecież musiał więcej niż zwykli śmiertelnicy odczuwać piękno, poezję, w subtelniejszych nawet odcieniach...

Dlaczego nigdy o tem z nią nie rozmawiał, nigdy nie czuł potrzeby podzielenia się z nią swojemi myślami, nigdy nie spowiadał ze swoich wrażeń?... dlaczego?..

Nie chciała nad tem zastanawiać się i dochodzić tego; wołała tłumaczyć go sama przed sobą, mówiąc:

— Biedaczysko jest umęczony, głowę ma skłopotaną; tyle lekyi miał dzisiaj!.. przecież to nudno słuchać przez cały dzień samych gam i solfeggiów i powtarzać sto razy jedno i to samo. To może zdenerwować i rozdrażnić najcierpliwszego!..

Wybacziała mu jego zły humor i kwaśny grymas, z którym odpowiadał jej na wszelkie zapytania, czekając chwili sposobniejszej, w której się do niej nawróci, zbliży, porozumie — i czas upywał, przemysł na chyłych skrzydłach, ale nie jak motyl w słonecznych blaskach, tylko raczej jak nietoperz w nocnych mrokach.

Ilekróć zdarzyło się jej słyszeć go mówiącego o muzyce, odczuwała teraz jakiś dziwny, prozaiczny chłód i sztywność, zamiast dawniejszego zapału

Chwalił te pieśni, które mu dobrze w głosie leżały, zachwycał się frazesami pojedynczemi, w któ-

rych jakiś jeden ton wybijał się silniej i efektywniej, dla szczegółów uprzedzał się do całości lub na odwrót, — przejmował się nią więcej, niż na to zasługiwała.

Treść go mniej zwykle obchodziła; nie pamiętał dobrze nawet słów, podłożonych pod muzykę, a kiedy raz Wicunia pochwaliła jakąś piosenkę, ze względu na bardzo ładny wiersz pewnego młodego liryka, przerwał jej, nie dosłuchawszy go do końca, ale pukając palcem w nuty, wołał z oburzeniem:

— Pojęcia nie ma o śpiewie!.. jakżeż można „ły“ stawiać na wysokim *la*?

Oceniał to jedynie ze stanowiska fachowca, dla którego względy wokalne stanowiły główny probierz wartości utworu i najważniejsze kryterium.

Czego nie można było wyśpiewać, co nie leżało mu dobrze w gardle, nie nadawało się do jego własnej skali lub do zaoszczędzonych nut w jego tenorze, to traktował lekko, jakby z łaski.

Lubił zresztą o jednej i tej samej rzeczy zmieniać zdanie, stosownie do chwilowego usposobienia i humoru.

Co mu się dzisiaj podobało, o tem po tygodniu słuchać nie mógł, tłumacząc w sobie zmienność taką wrażliwością artystycznej natury.

Filistry tylko mają zawsze jednaki gust, — odpowiadał na robione w tym względzie uwagi; — trzeba się urodzić filistrem, aby znajdować, że wszystko jest ładne, co się drugim podoba.

Tymi „filistrami“ sadił przy każdej sposobności, gdy mu szło o nacechowanie różnicy, jaka zachodziła między nim, między jego poglądami, jego zdaniem, jego zasadami a resztą świata.

Nie widział tego i nie czuł, że to, co sam nazywał artystyzmem, było w znacznej części błagą, zręcznie tylko pokrywana, kabotyneryą lepszego trochę rodzaju, fanfaronadą i pozowaniem na coś wyższego, niepospolitego, a w gruncie rzeczy pokrywanego tylko pozorami.

Któregoś dnia Stasia, która prawie codziennie odwiedzała siostrę a sama mieszkała przy babce i uczyła się malować, mając zamiar poświęcić się sztuce, zapytała Wicunię obcesowo:

— Słuchajno, czy ty wierzysz jeszcze w swego Walerka?...

— Jako, czy wierzę?..

— No, czy go sobie zawsze tak samo wyobrazasz, jak w początkach twojej znajomości z nim?...

Wypatrzyła na nią swoje duże, niebieskie oczy i oblała się rumieńcem.

— Kocham go zawsze tak samo, — odpowiedziała, udając, że nie rozumie zapytania siostry.

Stasia pomyślała chwilkę, jakby się wahała z tem, co chciała powiedzieć i rzekła tylko:

— To twoje szczęście!..

Urwała jednak dalszą rozmowę na ten temat, dodawszy:

— Czy wiesz ty, że to pojutrze sześć lat, jakiegoś cię pobrali?—a Wicunia westchnęła z jakimś melancholijnym uśmiechem i rzekła:

— Ktoby to uwierzył, że to dopiero sześć lat!..

W myślach zaś dodała:

— A tyle się rzeczy zmieniło!..

(Dalszy ciąg nastąpi).

Korrespondencya zagraniczna.

Lwów, w Styczniu.

Na kilka dni przed Nowym Rokiem rozpoczęły się w pięknym gmachu Sejmowym naszego miasta poważne obrady posłów, w których tyle doniosłych kwestyi ma być poruszonych. Najważniejszymi będą prawdopodobnie sprawa regulacji rzek galicyjskich, których coroczne wylewy powodują takie szkody dla kraju, tyle nędzy ubogich i tak mieszkańców, a dalej rozwój szkolnictwa, nadewszystko zaś poprawa bytu nauczycieli szkół ludowych, średnich. Dotychczasowe warunki egzystencji tych cichych

a pełnych poświęcenia pracowników na niewdzięcznej niwie kształcenia młodzieży, niesłuchanie są nędzne i wprost niewystarczające do życia, tak dalece, że wprost brak jest kandydatów i kandydatek na posady podobne i z tego powodu, wiele szkół po wsiach zwłaszcza stoi pustką, po miastach zaś niepodobna powiększać ilości gimnazyjów ani nawet klasz poszczególnych pomimo przepelnienia ich uczniami, gdyż niema komu siać wiedzy w młodzieńcze główki.

Otóż zdaje się, że chwila poprawy tych nienormalnych i wysoce niesprawiedliwych warunków już jest bliska, bo zarówno parlament w Wiedniu, jak i poszczególne sejmy krajowe, wzięły gorąco do serca sprawę krzywd ciała nauczycielskiego, rozumiejąc, że idzie tu zarazem o kwestyę dobrego, prawidłowego nauczania, bo tylko ludzie zadowoleni ze swego fachu, wolni od codziennych poziemnych trosk walki z niedostatkiem, mogą oddać się całą duszą spełnieniu swego szczytnego posłannictwa.

Obecnie z powodu *Gwiaździki* niosącej wszystkim ludziom radość i nadzieję, odbywało się w szkołach naszych obdarowywanie działwy nietylko przysmakami rzadko im dostępnymi a zgromadzonemi dzięki ofiarności przeważnie kobiet lwowskich, ale także odzieżą i obuwiem, których brak tak dotkliwie dawał się odczuwać niejednemu biedactwu. Trzeba przyznać, że szkoły ludowe w Galicyi otoczone są troskliwą opieką całego społeczeństwa i że dużo, bardzo już nawet dużo zrobiono w celu ułatwienia nauki, nawet najbiedniejszym. Przy każdej niemal ze szkół miejskich istnieją bezpłatne kuchnie, z których przez cały okres zimowych miesięcy, rozdają ubogim, potrzebującym tego dzieciom raz na dzień ciepłe jedzenie. Łatwo zrozumieć, jak umiła, wprost umożliwia naukę takie zaopatrzenie potrzeb nietylko duchowych i intelektualnych, ale tych, które w istocie ludzkiej po wsze czasy i pomimo wszystkiego odzywać się będą najgłośniej t. j. wrażliwości na głód i zimno.

W dziedzinie filantropii, stała przed kilku miesiącami we Lwowie nowa w tym zakresie instytucya, której brak oddawna z całą siłą odczuwać się dawał. Mamy tu na myśli dom podrzutek uroczyście otwarty w listopadzie z. r. i zainstalowany we własnym gmachu przy ulicy Paulinów pod nazwą: „Przytulisko stowarzyszenia opieki nad niemowlętami pod wezwaniem Dzieciątka Jezus.“

Instytucya ta istnieje właściwie już od lat paru dzięki szlachetnej inicjatywie księżnej Elżbiety Sapiieżyny, która nie żałowała trudu i kosztów, a zgromadziwszy cały zastęp pań o tkliwym a zacnem sercu, potrafiła je do myśli swej rozplomić i do pięknego uczynku zachęcić. Były to jednak dotychczas dorywcze tylko i czysto prywatne usiłowania i nie mogły też wydać zupełnie zadawalniających rezultatów.

Dziś, dzięki niestrudzonej zapobiegliwości inicjatorów, zakład zyskał urzędową sankcyę, własne i wcale dogodne pomieszczenie, a także pewien dość znaczny nawet fundusz udzielony mu przez Wydział Krajowy z zapisu hr. Gołuchowskiej dla podrzutek miasta Lwowa. Już zdaleka domek w którym *przytulisk* pomieszczono, robi bardzo miłe wrażenie: zwrócony na południe, cały otoczony bujną zielonością okalających go ogrodów, stanie się cichym schronieniem dla biednych opuszczonych niemowląt pozbawionych skutkiem nędzy, czy też niegodziwości swych matek już od poranku życia ciepła domowego ogniska i rodzicielskiej opieki. Siostry Felicjanki ze znaną im słodyczą i zaparciem się zajmują tem bezdomnem biedactwem, które kiedyś z gorącą wdzięcznością wspominać może będzie owo zielone gniazdko przy ulicy Paulinów.

W innem znow gronie kobiet o szlachetnych i tkliwych na niedolę ludzką sercach powstał projekt urządzenia bezpłatnej herbaciarni, gdzieby każdy mógł dostać szklankę gorącej herbaty z cukrem, chlebem, a jeśli będzie można i z mlekiem, nie potrzebując żadnej na to legitymacyi prócz tej jedynej—że jest głodny i zziębnięty. Dobrze by było, aby ten piękny pomysł mógł się w czyn zamienić jaknajprędzej, gdyż zima—ten wróg ubogich na dobre już rozpoczęła swe panowanie, podczas którego podobne instytucye są właśnie najpożądane. To też panie nasze krzątają się energicznie a z zapałem około sformowania odpowiedniego komitetu, a nadewszystko zebrania choć

najpotrzebniejszych na początek funduszy. W tym celu urządzoną zostaje w najbliższym czasie w lokalu czytelnicy dla kobiet loterya fantowa na którą fanty nadpływają nadzwyczaj obficie i to wcale estetycznej jakości. Oby rezultat był jak najpomysłniejszy.

W sferze sztuki daje się u nas czuć obecnie pewną stagnacyę: niezwykle długo trwający w bieżącym roku sezon operowy, a następnie szereg gościnnych występów Modrzejowskiej stepił a raczej wyczerpał na czas pewien zasób wrażliwości naszej na kwestye artystyczne, ujemnie również działając na zawartość naszych — kieszeni. Zjazd muzyków i śpiewaków obojej płci, był atoli o wiele mniej liczny niż się tego z powodu wystawy ożywionego lata spodziewano. Gwiazdy — nie dopisały i wołały świecić na obcym, lecz za to szerszym horyzoncie zagranicy. Operę dźwigały na swych barkach siły swojskie, młode i może czasami niedość wyrobione, ale w każdym razie młodością swą, zapałem zasługujące na wszelką sympatyę i uznanie, które z czasem gdy obiecujący materyał zamieni się w piękny talent, otoczy słusznie należyty entuzjazm. Miłych gości mieliśmy w osobach tenora opery pragskiej p. Floryańskim i pani Jadwidze Camillowej, której talent niepospolity i świetna szkoła, dozwoliły zająć zaszczytne stanowisko primadonny opery drezdeńskiej.

W dziedzinie koncertów mieliśmy kilka wysoce interesujących: do takich należał w pierwszej linii popis młodej a już rozgłoszonej zagranicą pianistki p. Antoniny Szumowskiej jedynej i wielce ulubionej uczennicy mistrza Paderewskiego. Panna Szumowska czarowała na obu swych koncertach nie tylko grą pełną skończoności arcyzmu, ale zarazem wdziękiem swej młodzieńczej postaci, oklaski zaś tłumnie zebranej publiczności dzieliła z partnerką swą panną Wajchertową, której głos przesłizny i znakomita metoda śpiewu stawia w rzędzie już nie amatorów lecz skończonych i niepoślednich artystek. Wielkiem również powodzeniem cieszył się kompozytorski koncert p. Aleksandra Zarzyckiego, który przyjechał tu do nas z Warszawy by się zaprodukować w podwójnym charakterze — twórcy i wykonawcy. Zwłaszcza jego *Suita* na orkiestrę zyskała sobie poklask ogólny i to nie tylko wśród szerokich mas, ale i w obec poważnej krytyki muzycznej.

Towarzystwo Muzyczne spełnia również gorliwie swoje zadanie dając nam koncertami o poważnym, głębszym charakterze. W rozwoju tej instytucji nastąpi rychło ważna a nadzwyczaj dodatnia zmiana, jak się zdaje bowiem w najkrótszym już czasie Towarzystwo Muzyczne dojdzie do posiadania własnego, pięknego gmachu. Niedawno właśnie roztrzygnięty konkurs, wyróżnił i nagrodził jednoznacznie projekt młodego architekta p. Kazimierza Piekarskiego, który potrafił pogodzić wszystkie wymagane, a nie tak łatwe do zadowolenia warunki. Nowy gmach Towarzystwa Muzycznego stanąć ma na placu Chorążczyzny stanowiącym własność tej instytucji, wewnątrz znajdują dwa sale koncertowe, z tych jedna mniejsza, druga zaś na wielkie zakrojona rozmiary, z dziesięciu lożami i balkonem dokoła, obliczone na pomieszczenie 1.500 osób, t. j. taka, jakiej Lwów oddawna potrzebuje i posiadać pragnie. Sale te w razie potrzeby będą mogły być zamienione na balowe, prócz tego nie zapomniano też i o garderobach, poczekalni dla chórów i orkiestry, a nadto bogatym i obszernym *foyer* z wyjściem na taras. Pierwsze i drugie piętro zajęte ma być przez kancelaryę i sale szkolne konserwatorium muzycznego, gdyż i ono znajdzie tu pomieszczenie. Zdaje się więc, że nowy ten gmach stanie się ozdobą miasta, gdyż o ile z modelu wnosić można, odpowie wszelkim warunkom piękna, a zarazem palącej potrzeby, odczuwanej przez całą muzyczną część naszego społeczeństwa.

Budowa ma się rozpocząć zaraz z wiosną, tymczasem zaś grono inicjatorów tego pięknego projektu z p. Walerym Wysockim na czele, którego zapobiegliwości winniśmy zgromadzenie najpiękniejszych funduszy na rzecz własnego gmachu muzycznego, zajmie się zapewne urządzeniem jakichś składek, przedstawień lub czegoś podobnego dla pobudzenia w dalszym ciągu ofiarności ogółu. Piękny przykład bezinteresowności złożył już sam

projektodawca p. Piekarski, zobowiązał się bowiem zrobić wszelkie potrzebne plany bezpłatnie. Sprawa budowy nowego teatru agituje się również żywo wśród radnych naszego miasta, wywołując żywe dyskusye i nawet nieporozumienia pomiędzy projektodawcami. Tu jednak nie tak rychło myśl wejdzie w wykonanie, gdyż potrzeba ogromnych zasobów pieniężnych, na które gmina lwowska w nie najlepszych będąc interesach z trudnością się zapewne zdobędzie. Tymczasem stary i brzydki budynek zmienić się do niepoznania jakby za dotknięciem róższeczki czarodziejkiej na jasną, ożywioną technieniem arcyzmu z jednej a entuzjazmu z drugiej strony, świątynię sztuki, gdy w niej rozbrzmiewał melodyjny, pełen siły i miękkości dźwięk głosu znakomitej naszej Modrzejowskiej, a wzrok przykuwała jej zawsze jeszcze tak piękna, majestatyczna postać.

Znakomita artystka gościła tu u nas dość długo występując dwadzieścia kilka razy, a to zawsze przy wypełnionym po brzegi teatrze, co we Lwowie jest wcale nie codziennym zjawiskiem. Szlachetność i ofiarność artystki znalazły swój wyraz w jej kilkakrotnych występach na rzecz różnych filantropijnych instytucji.

Dzięki jej inicjatywie i współdziałaniu przesunęła się przed naszymi oczyma dawno niewidziana a tak zawsze w swej idealnej prostocie prześlizna postać Amelii z Mazepy, zaś fundusz emerytalny dla wdów i sierot po artystach i literatach zyskał znakomitą zapomogę. Taką samą wdzięczność dla wielkiego serca i talentu artystki czuć musi stowarzyszenie pań Salomejek, którym udało się pozyskać znakomity współdziałal artystki w urządzonym przez nie koncercie i rancie. Ten ostatni powiódł się świetnie i zamienił w formalny bal tańczący. Jużto w ogóle Lwów, który zawsze tańczyć lubi namiętnie, rozpoczął swój sezon balowy jeszcze przed zwykłym terminem t. j. na wiele przed karnawałem, tańczono przez całą jesień korzystając z byle okazji, by dać upust owemu temperamentowi i upodobaniom. Niewiadomo jeszcze co przyniesie karnawał, bo jakoś dotychczas niema żadnych większych zabaw zapowiedzianych.

Smutek i radość splata się w tem życiu w węzeł dziwnie ścisły, to też i nam niech wolno będzie zrobić nagły przeskok od tej tanecznej kroniki do wzmianki o dwóch tragicznych wypadkach, jakie wstrząsnęły nerwami naszego społeczeństwa.

W odstępie jednego czy dwóch dni zaledwie zdarzyły się tu dwa samobójstwa, spełnione każde — we wręcz odrębnych warunkach. Nędza straszna i niepokonana, wyszczerzająca swą straszną, złowrogą maskę z każdego kąta zupełnie już ogołoczonego ze wszelkich sprzędów, ubrania a nawet pościeli mieszkania — skłoniła dwoje ludzi — staruszków w wieku lat siedemdziesiąt i sześćdziesiąt do odebrania sobie życia za wspólnem porozumieniem nieszczęśliwych.

Gdy na huk wystrzałów wyważono drzwi, znaleziono panią Langford bez życia, jej męża zaś rannego tak ciężko, że w kilka godzin wyzionął ducha. Ludzie ci byli bezdzietni, rwali się do pracy, gdyż do ostatniej prawie chwili Langford prowadził kantor stręczyci służby, a w obec tego — cisnie się na usta gorzkie pytanie i wyrzut, jak mogło społeczeństwo, miasto, gmina, nie zająć się losem tych dwojga biedaków, których wszakże tak niewielka nawet pomoc mogła powstrzymać od targnięcia się na własne życie. Jednocześnie niemal, pöderznął sobie gardło brzytwą bogacz — zniechęcony do życia, nie troską o jutro, lecz obawą utraty wzroku, co by mu uniemożliwiło dalszą pracę na polu naukowem. Tym desperatem, którego krok szalony budzi jednak głębokie współczucie a nawet pewną cześć był hr. Wiktor Baworski. Szlachetny ten dziwak i oryginał zapisał całą swą olbrzymią fortunę na utworzenie różnych naukowych instytucji, których brak tak bardzo daje się w kraju naszym odczuwać. Zrobiwszy testament już przed laty piętnastu, uważał od tego czasu majątek swój — wynoszący około 10 milionów — nie za prywatną własność, lecz raczej jako święty depozyt, którego nie chcąc uszczuplać, odmawiał sobie najpierwszych niemal potrzeb: żył jak zupełnie ubogi człowiek.

Tragiczną tę kronikę możnaby jeszcze uzupełnić przytoczeniem kilku sensacyjnych zbrodni, jakie

roztrząsały w ostatnich czasach sądy tutejsze. Rzecz dziwna, treść ich prawie zawsze ta sama: żona pozbywa się do wspólni z kochankiem niewygodnego jej małżonka lub odwrotnie, a co jeszcze dziwniejsza, że dzieje się to tak często na wsi, którą przywykliśmy uważać jako synonim patriarchalnych cnót i łagodnych obyczajów. Trudno zaiste orzec gdzie leży źródło tego zdziczenia i okrutnych a tak wysoce nieetycznych instynktów, nam by się zdawało, że chyba w braku oświaty i obniżającym się poziomie uczuć religijnych.

W. N.

Kronika działalności kobiecej.

— Na utrzymanie akademii medycznej dla kobiet, mającej się wzniesić w Petersburgu, p. Rozdzienska-Szaniawska postanowiła dawać przez lat dziesięć po 12.000 rs. rocznie. Początkowe to wykształcenie kobiet w zawodzie lekarskim szło bardzo powoli, w 1872 r. otwarto w wojskowym szpitalu miłkołajewskim czteroletnie kursa dla fachowych lekarzek chorób kobiecych; w 1876 r. dodano kurs piąty, i zrównano naukę medycyny dla kobiet z zakresem tejże nauki dla mężczyzn. W 1878 r. Cesarz Alexander II-gi przyznał kobietom stopień lekarza, przecież w 1886 r. zarząd wojskowy usunął się od dalszego prowadzenia kursów, gdy jednak składki prywatne wytworzyły na ten cel kapitał około 700.000 rs. nie licząc w to ofiary wyżej wymienionej ofiarodawczyni, akademii medyczna dla kobiet ma powstać wkrótce. Patent z gimnazjum żeńskiego otwiera przystęp na wykłady.

— Opiekunkami zakładu sierot dziewcząt, mieszczącego się w Warszawskim Towarzystwie Dobroczynności, zostały pp.: księżna Marya Radziwiłłowa, hr. Honorata Czacka, Marya Czarnowska, Leopoldowa Chrapowiecka, Julia Filipkowska. W przytulku sierot mieści się 152 dziewcząt, chłopców 196, razem 348 dzieci.

— P. Seweryna z Pstrokońskich Tymowska, uzyskawszy odpowiednie pozwolenie ma otworzyć wkrótce w mieście naszym schronienie dla niezamożnych a sędziwych, lub słabowitych obywaterek ziemskich. Zakład ten pozostawać będzie pod opieką Warszaw. Tow. Dobroczynności.

— Na rzecz kościoła Św. Floryana na Pradze, zapisała p. Apolonia Kobyłecka nieruchomość posiadaną na Nowej Pradze z warunkiem, aby nieruchomość ta sprzedaną została przez licytację publiczną i suma ztąd powstała dołożoną była do ogólnych funduszy wymienionego kościoła.

— Warszawska rada miejska dobroczynności publicznej, przyjęła zapis testamentowy s. p. Agnieszki Wawrowej, legującej: dla szpitala Dzieciątka Jezus 500 rs., dla szpitala S-go Ducha 500 rs., dla szpitalika chrześcijańskiego dla dzieci 500 rs., dla szpitala na Pradze 500 rs., dla szpitala żydowskiego 500 rs., dla Schronienia paralityków Feliksa Sobańskiego 500 rs.

— Jedną z mieszkanek Płocka przeznaczyła ostatnią wolą swoją fundusz na założenie przytulku dla upadłych dziewcząt. Grono pań miejscowych przystępuje do założenia przytulku, w którym mieścić się będą dziewczęta tak oddawane tam przez rodziców lub opiekunów, jak też pragnące się tu schronić z woli własnej. Instytucja ta nosić będzie nazwę domu Aniołów Stróży, a zarządzoną zostanie na wzór warszawskiego domu Magdalenek.

— P. Kazimiera Joanna Piątkowska otrzymała pozwolenie na otwarcie szkoły freblowskiej dla dzieci płci obojej przy ulicy Podwał, w domu pod numerem 22.

— P. Marya Borkowska, inicjatorka zbiorowej szkoły fotograficznej dla kobiet, otworzyła ją przy ulicy Nowomiejskiej pod N. 7. Program obejmuje lekcye retuszowania fotografii, kolorowania, oraz robotę heliominiaturową.

— Medaliony Szopena z masy papierowej, odtworzone są ze wzoru wykonanego przez rzeźbiarkę, warszawiankę kształcącą się w Paryżu, p. Janinę Pstrokońską oraz p. Janinę Grzelińską, ukazały się w handlu. P. Grzelińska otrzymała za to dzieło sztuki list pochwalny na ostatniej plastyce wystawie w Paryżu.

— Zakład naukowy rękodzielniczy hr. Cecylii Plater Zyberg począł przyjmować uczennice pragnące się obeznac z metodą freblowską tak, aby jako wychowawczynie mogły się nią posługiwać. Przyjmowane tu są zarazem do ogródka dziecięcego dzieci od lat czterech do siedmiu. Teorya łączy się tu z praktyką, co jest rzeczą nie małego znaczenia dla nauczanych, w których rozwija się tym sposobem umysł spostrzegawczy.

— Joanna Dubiecka przełożyła z języka francuzkiego książeczkę bardzo pożyteczną dla dzieci: „Nasładowanie Dzieciątka Jezus.“

— Trzecia z rzędu wystawa kobiet malarek została otwartą w Paryżu, w galerii Georges Petit, mieszcząca przeszło dwieście obrazów, a znajdują się tu dzieła wszystkich wyższego talentu artystek pendzla: Róży Bonheur, Ludwika Abbema, Dumont Breton. Obok tego odznaczają się portrety Kamilii Isbert, pastele Anieli Valentino i innych, jak Ludwika Desbordes, Fryderyki Vallet, Real del Sarte, de Sparre. Rzeźb jest też bardzo wiele a są to przeważnie popiersia; cała figura „Przy źródle“ M-me Casini, wyszczególnia się wdziękiem szlachetnym i czystością linii.

— Francuzkie siostry miłosierdzia otrzymują słusznie krzyże Legii honorowej; Napoleon I-szy ozdobił w 1815 r. tym znakiem zaszczytnym pierwszą pierś kobiety: szlachetnej bohaterki miłości bliźniego, siostry Marty zasłużonej Francji wśród krwawych starć owego czasu. W 1852 r. otrzymała go niemniej godna tego siostra Anna; w 1875 r. Mac Mahon przyznał i wręczył osobiście order ten siostrze Rozalii za bohaterskie czyny podczas powodzi w Tuluzie, gdzie ratowała z narażeniem własnego życia starców i dzieci. W ostatnich dziesięciu latach otrzymało go najwięcej tych świętobliwych służebnic ludzkości; razem jest ich zapisanych w złotej księdze Francji trzydzieści jeden. Na liście nominacji noworocznych mieści się nazwisko hr. Foucher de Cariel, wdowy po senatorze, a to z powodu, iż jest przewodniczącą związku kobiet francuzkich—związku, którego celem jest rozbudzenie szlachetnych uczuć miłości Francji i strzeżenia tradycji.

— Angielska filantropka, miss Florentyna Stackpole, ogłosiła doroczne sprawozdanie z działań *Narodowego stowarzyszenia zdrowia*, którego celem jest rozszerzenie pojęć higienicznych i wiadomości potrzebnych matkom, aby dzieci były dobrze w tym kierunku wychowywane. Stowarzyszenie kształci znaczną liczbę misyonerek zdrowia, mieszkających bezpłatnie w tym zakresie odczyty po wsiach i miastach, a dodaje się tu jeszcze higiena, odpowiadająca tak rozmaitym rodzajom pracy, jak i wieku. Odczyty te podzielone są na cztery oddziały: dzieciństwa, młodości, lat dojrzałych, starości. Tryb życia, pożywienie, praca i odpoczynek, stanowią tu podstawy, które uwzględnić potrzeba, zwłaszcza posuwając się w lata.

— Angielskie narodowe stowarzyszenie wydało kalendarz, obejmujący postęp działalności kobiet w ciągu ubiegłego, 1894 r. Zaznaczono tu jako ważny fakt tego postępu, że prawo przyznało kobiecie udział w głosowaniu do rady miejskiej. Spis urzędów publicznych wykazuje między innymi, że trzy kobiety zasiadają w komisji szkolnej, dwie należą do deputacji, zajmującej się szkołami bezpłatnymi dla dzieci rodziców ubogich, jedna mie-

ści się w komitecie szkockiego departamentu szkolnego, dwie są inspektorkami fabrycznymi, gdzie rozwijają działalność wielce pożyteczną; dwie wybrano właśnie do komitetu Instytutu dziennikarzy, który trzyma tu nadzór nad moralną stroną dziennikarstwa. Sprawozdanie roczne Tow. Lekarskiego wykazało, iż w Anglii jest 177 doktorek praktykujących; sekretarz stanu dla Indyi mianował naczelną lekarką szpitala w Bambaj kobietę. Uniwersytet edynburski otworzył się dla kobiet z prawem doktoryzowania ich i uwaga, iż kobiety lekarze mają szerokie pole wielce użytecznego oddziaływania na zdrowie rodzin.

— Uniwersytet w Getyndze dopuścił trzy kobiety do słuchania wykładów.

— W Berlinie počęło wychodzić pismo poświęcone działalności kobiecej: „Die Frauenbewegung“.

Z bieżącej chwili.

— Donoszą z Petersburga, iż w roku bieżącym odbędą się w Cesarstwie dwie wystawy: jedna kunsztu drukarskiego w Petersburgu, druga wystawa ogólna w Niższym Nowogrodzie.

— Według dzienników petersburskich, ma istnieć projekt zreorganizowania gruntownie ministerium komunikacji. W skutek tego projektu utworzoną będzie prawdopodobnie rada ministerium handlu i przemysłu, w którego jednym z departamentów zjednoczą się funkcje działającego obecnie ministerium komunikacji.

— Na ostatnim posiedzeniu War. Tow. Dobroczynności w wydziale sierot stwierdzono, iż w zakładzie imienia Jachowicza mieści się 155 chłopców, w szpitalu S-go Duchy 1, na kolonii w Drewnicy 30, w przytułku przy ulicy Zielnej 10. Razem Towarzystwo przysparza pod opieką swoją 196 chłopców; dziewcząt, którym Towarzystwo dało opiekę znajduje się w zakładzie sierot na Krakowskim Przedmieściu 87, w Chyliczkach (pod opieką hr. Platerówny) 3, w przytułku przy ulicy Hożej 36, na Solcu 14, za rogatkami mokotowskiemi 1, przy ulicy Krochmalnej 6. Razem Towarzystwo przysparza dziewcząt sierot 152.

— Dwie prelekcje prof. Boguckiego, wygłoszone na rzecz Warsz. Tow. Dobroczynności, miały za przedmiot fotografią kolorową. Jest to wynalazek prof. Lipmana, dokonany świeżo w Paryżu na podstawie badań z zakresu fizyki, a ograniczający się do dwóch zdjęć.

— Na wystawę Tow. Zachęty sztuk pięknych przybyło jedno z wyższych dzieł pendzla: „Modlitwa“ Brandta. Jestto wśród zapadającego już mroku tabor wędrowny, składający się z mnóstwa wozów, które stanęły tu na nocleg a w pośrodku nich stoi wóz, zaprzężony w parę wołów, z których jeden jeszcze stoi, a drugi już się powalił na odpoczynek. Na wozie rozpięty jest kawał czerwonej draperyi, na której mieści się złocisty obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej, który oświeca blask bijący z góry, a rzuca go tam wisząca na wysokim drągu latarka. Grupa kobiet klęczy na ziemi, modląc się gorąco; po za niemi tyłem do widza stoi wieśniak z przewieszo-

na przez ramię strzelbą, a postać to pełna wyrazu tak, jak się to zaznacza i u kobiet modlących się gorąco do Królowej Niebios, orędowniczki ludzi, wołających pomocy bożej. W oddaleniu po lewej stronie obozu rzędy wozów, na planie ostatnim woda a po za nią płoną ogniska. Siemiradzki nadesłał tu nowy obraz z życia mieszkańców Włoch południowych.

— Na dorocznem rozlosowaniu sztuki pomiędzy członków Wars. Tow. zachęty sztuk pięknych, przystomnemi byli i członkowie komitetu: Józef Weisenhoff, ks. Michał Radziwił, Holewiński, Kędziński i Szyller, obok tego członek honorowy Alfred Schoupe, oraz członkowie rzeczwiści: Władysław Półkofycki, Jan Gautier, Paweł Rozen, Marcin Osmała, Gabryel Wierzkowski, Michał Andrychiewicz i Bonifacy Dziadulewicz. Liczba wygranych dzieł sztuki wynosiła razem 104.

— W piśmie paryzkim „Cocard“ Władysław Mickiewicz drukuje bardzo ciekawe i obszerne studium o wykładach ojca swego w „College de France.“ Studium to ma tytuł: „Du premier enseignement des litteratures slaves à Paris.“

— Czasopismo niemieckie „Pommersche Rundschau“ zamieściło zajmującą wiadomość o wozie tryumfalnym ofiarowanym przez mieszczan wiedeńskich Janowi III, jako dar ich wdzięczności za odsiecz daną Wiedniowi w 1683 r. Wóz ten, odpowiednio do czasu był arcydziełem, koleje jakie przebywał są niewiadome, trudno też dobrać się na pewno jakim sposobem dostał się na Pomorze do wsi Raddatz pod Nowym Szczecinem. Rozcięty na dwoje znajduje się w kościele miejscowym, pudło pomalowane złotem i kolorami, zachowało doskonale swój blask i psuje tu tylko harmonią przód, gdzie u drzewczek przybito złotem też namalowany herb niemieckiej rodziny Kleistów, dawnych właścicieli starożytnego siola. W części, która nieuległa tej profanacji, przedstawiają się oku pysznie piękne, bardzo artystycznie wykonane arabskie a obok nich tureckie i chrześcijańskie godła wojenne, wśród których mieści się Janina Sobieskich z popisanemi poniżej literami: *I. S. R. P.*, to jest „Johannes Sobieski, Rex Poloniarum.“ W górnej części powozu, zawieszona jakoby baldachim po nad amboną, widnieje napis łaciński, dowodzący iż to był jakoby wóz tryumfalny „Currus triumphalis Johannes Sobieski, regis.“

Jak wóz ten dostał się do Raddatz, niewiadomo. że dano mu miejsce w świątyni dowodzi, że uważano go przez cześć dla Jana III jako relikwii, istnieje przeciw legendzie że w 1744 podczas wojny, zabrany był przez Fryderyka Kleistę z klasztoru szląskiego i przesłany na Pomorze. Chciano go przeciw Kleistowi odebrać, jako wielką pamiątkę historyczną, ale przebiegła niemka, żona jego, kazała go przeciąć na pół i umieścić w kościele, gdzie dla świętości miejsca nie mógł być już ruszonym.

Do dzisiejszego numeru „Bluszcza“ dołącza się: powieść **Rubikon**, przez E. F. Benson. Przekład z angielskiego ark. 7.

TREŚĆ: Pogawędka, — przez ?? — **Bolesław Prus** (Alexander Głowacki) przez J. Nitowskiego (dalszy ciąg). — **Michał Cervantes** (doności kobiecej). — **Z bieżącej chwili.**

Dodatek obejmuje: **Rubikon**, powieść przez E. F. Benson, przekład z angielskiego arkusz 7. — Przegląd mód. 32 wzorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycja stołu.